

Zbigniew Wilczyński

FALA 602

1.

Dziesiąta rano. Czas poszedł. Start.

Mróż trzymał nieduży, jakieś pięć stopni poniżej zera. Na kolistej polanie, przeciętej wąską nitką kamienistej drogi, długa pożółkła trawa sucho szeleściła pod butami. W świerkowym lesie, w najgłębszym cieniu między gęsto rosnącymi drzewami, tu i ówdzie widać było szare płyty śniegu. Małe jak guzik słońce rozmywało do sianej bladej i tak niezbyt intensywny zimowy błękit nieba. Co jakiś czas po czubkach drzew przeciągał leniwy podmuch wiatru.

Było cicho i spokojnie. Trochę sennie. Niemal sielsko.

- Porucznik Stanisławski jest ranny. Postrzał w lewą łydkę. Złamanie prawego uda - powiedział podporucznik Wacław Bilecki. Towarzyszył mu żołnierz z radiostacją, ale tej wiadomości podporucznik nie puścił w eter, tylko zapisał w notesie.

Porucznik Stanisławski, ogólnie znany jako Johnny, siedział na obrośniętym korzeniami, wyrwanym z ziemi pniu po ściętym drzewie. Patrzył na stojących wokół żołnierzy. W chłodnych niebieskich oczach czaił się cień uśmiechu. Duże szerokie usta miał jak zwykle mocno zaciśnięte. Dolna szczęka, ostro zarysowana, pokryta cieniem zarostu, nadawała jego twarzy nieprzyjemny wyraz.

"Ranny w nogi!" pomyślał Maciej Woroniecki, lat dziewiętnaście, kanonier. Skrzywił się. Jasne! Musiał być ktoś ranny w nogi - najlepiej dowódca - żeby oni mieli co tachać po tych zajebiaszczych bezdrożach!

Zgnębić wojsko. Udupić. Urypać.

Jasne!

Spojrzał na Jana Sierpińskiego, lat dziewiętnaście, kanoniera. On też miał niewesołą minę.

- Dowództwo przejmuje kapral Wachowicz! - powiedział porucznik Stanisławski.

- Rozkaz! Przejmuję dowództwo! - zawołał Wojciech Wachowicz, lat dwadzieścia jeden, kapral. Wskoczył pomiędzy żołnierzy, zatrzymał się przed porucznikiem Stanisławskim i sprężyste wykonał w tył zwrot. Zielonkawy hełm, obciążony siatką maskującą, nasunięty głęboko na czoło, ocieniał chudą twarz. Widać było krechę czarnych brwi, błyszczące punkty oczu i lśniące wilgocią usta.

Woroniecki już potrafił nie okazywać uczuć, pod tym względem wojsko czegoś go nauczyło, więc patrzył na Wachowicza obojętnie, a nawet trochę drwiąco. Czuł tylko dziwny, dławiący skurcz w gardle. Przełknął ślinę i skurcz ustąpił. Stojący obok Wiesław Rybka, lat dziewiętnaście, kanonier, albo mniej się nauczył, albo był bardziej impulsywny.

- Kurwa jego twarz! - zamruczał cicho.

Kapral Wachowicz ogarnął spojrzeniem gromadkę żołnierzy, wyprężył się w postawie zasadniczej i zaczął krzyczeć donośnym głosem:

- Na moją komendę! Działon! Frontem do mnie! W szeregu zbiórka!

Pospolity koszarowy sposób podania komendy był na tej polanie tak bardzo nie na miejscu, że nawet porucznik Stanisławski ze zdziwieniem podniósł głowę. Żołnierze przez kilka sekund stali nieruchomo i spoglądali po sobie. Później ulegli odruchom: nie tylko sformowali szereg, ale i wyrównali w prawo.

"Dojebie mu wreszcie!" pomyślał Woroniecki na widok gniewnego błysku w oczach porucznika, na widok jego otwierających się ust. Ale porucznik Stanisławski zamknął usta bez słowa; zawsze wierny zasadom, nie pozwolił sobie na opieprzenie podoficera w obecności szeregowców.

Silniejszy podmuch wiatru przeciągnął po wierzchołkach drzew, przebuszował przez polanę. Żołnierze unieśli ramiona, wtulili policzki w kołnierze panterek.

- Trutowski, Rybka, Filipczak i Józków! Wyciąć dwa porządne chojaki do zrobienia noszy! - wrzasnął kapral Wachowicz. - Woroniecki i Sierpiński! Zaminować drogę przy wjeździe na polanę! Sierżant na posterunek obserwacyjny przy wlocie drogi, Nowak przy wylocie! Wykonać! Biegiem!

- A on co? - spytał Sierpiński Woronieckiego, gdy wraz ze Stefanem Sierżantem, lat dwadzieścia, kanonierem, biegli w stronę wlotu drogi.

- On? - Woroniecki parsknął. - On opatrzy wodza. Przecież Johnny jest ranny. W nogi. Zapomniałeś?

Biegli powoli, oszczędzając siły, w tempie żółwia, tak właśnie jak nauczyli się biegać na rozkaz; chyba tylko prawdziwe pociski świszczące koło dupy zmusiłyby ich do zwiększenia prędkości.

- Szybciej! Szybciej! Ruszać się, do cholery! - wrzasnął kapral Wachowicz.

- Z prędkością światła, na wysokości lamperii - powiedział Woroniecki.

Sierpiński roześmiał się. Stefan Sierżant miał posągowo nieruchomą twarz półdebiła; skrzywił się z wysiłkiem, jakby próbował dać do zrozumienia, że on także chwycił dowcip.

Dotarli do skraju lasu i zatrzymali się. Droga biegła w wąskiej i długiej rynnie przypominającej koryto wyschniętego strumienia; dwie głębokie koleiny pokryte były różnej wielkości kamieniami; między koleinami rosła rzadka trawa.

Sierżant zdjął z pleców AK-47, odbezpieczył go i przeladował, po czym zajął pozycję na skraju lasu. Schował się za pniem drzewa, wysunął lufę karabinu w stronę, z której mógł się pojawić nieprzyjaciel, i wyjrzał ostrożnie.

Woroniecki zerknął na Sierpińskiego. Ten wzruszył ramionami.

- Przecież to dla takich jak on wymyślono wojsko - powiedział pochylając się trochę. Był wyższy od Woronieckiego o pół głowy, miał czarne, zawsze gładko zaczesane włosy, teraz ukryte pod hełmem, trochę garbaty nos, ciemne skośne oczy i trójkątny spiczasty podbródek. Był szczupły, a nawet chudy, ale obszerną panterkę z trudem udało mu się zapiąć na wszystkie guziki, ponieważ dźwigał na sobie tyle dodatkowej odzieży, ile zdołał mu dostarczyć jego druh serdeczny, Marek Nowak, lat dwadzieścia, kanonier, pomocnik szefa baterii, czyli kapciorny. Sierpiński kochał ciepło, nawet latem było mu zimno.

Woroniecki ostrożnie zeskoczył na drogę biegnącą dobry metr poniżej poziomu polany. Natychmiast przykucnął i wyjął paczkę papierosów. Sierpiński gwizdnął z uznaniem i nie zwlekając zajął pozycję obok.

Palili szybko, zachłannie, parząc usta przeciągniętymi petami. Dym wydmuchiwali jak najniżej, pod siebie, i dla pewności rozgarniali go rękami. Po minucie z papierosów pozostały tylko poźółkłe od wilgotnej nikotyny niedopałki. Woroniecki czubkiem buta podważył spory kamień. Sierpiński

pomógł mu z drugiej strony. Wrzucili pety do dołka, kamień ułożyli na poprzednim miejscu. Zmarznięta ziemia obruszyła się na brzegach i widać było, że kamień został poruszony.

- Na cholere w takich warunkach zakładać miny! - wkurzył się nagle Woroniecki. - Czy ten głąb myśli, że oni przyjadą tu na wycieczkę? Najpierw wyślą zwiadowców, a takie ślady byle głupek zobaczy!

Sierpiński spróbował palcami wyrównać obruszone krawędzie wokół kamienia, ale ubita i zmarznięta ziemia nie chciała się poddać.

- Równie dobrze możemy te miny położyć całkiem na wierzchu, jedno gówno! - warknął Woroniecki.

- Czym się wściekasz? - spytał Sierpiński. - Tą zasraną wojną? To nie twoja zabawa. Dostałeś rozkaz? No to już, wykonuj! Brykaj do tamtej bruzdy, ja zakładam miny tu. Tylko patrzeć, jak Wachowicz przyleci. Tamci już tną.

Rzeczywiście, w pobliskim lesie słychać było szybki, nierównomierny stukot toporków.

- Wkurwia mnie zbędna tyrka - wymamrotał Woroniecki.

Splunął, spojrzął na kamień, wyprostował się i - kręcąc niechętnie głową - przeszedł do sąsiedniej koleiny. Wyjął saperkę z zawieszonoego na pasie pokrowca, rozłożył ją, usztywnił złącze między trzonkiem i łopatką. Szybko znalazł średniej wielkości płaski kamień, podważył go i wyciągnął z ziemi. Mróz trzymał dopiero od dwóch dni, więc grunt pod kamieniem był jeszcze dosyć miękki; bez trudu udało mu się wygrzebać mały prostokątny dołek. Zebrał zbędną ziemię na łopatkę, rozejrzał się i szerokim kolistym ruchem wyrzucił ją w górę, na polanę. Odłożył saperkę i z torby, w której zwykle nosił maskę przeciwgazową, wyjął niewielkie drewniane pudełko. Otworzył wieczko, przyjrzał się kostce trotylu, wy dostał z kieszeni zapalnik, odbezpieczył go, szybko zamontował w specjalnym wycięciu w ścianie pudełka i ostrożnie opuścił wieczko. Takie drewniane gówno, niby nic, zwyczajna mina przeciwpiechotna. Wiedział jednak, że dwieście gramów trotylu bez trudu może urwać koło samochodowe, a nawet półoskę.

Pochylił się, troskliwie ułożył pudełko w wygrzebanym dołku, sprawdził, czy wieczko zbyt nie wystaje, po czym ostrożnie nakrył je kamieniem. W chwili, w której miał wypuścić kamień z ręki, zawahał się i szybko podparł go kawałkami zmarzniętej ziemi. Odetchnął, podniósł saperkę, wyprostował się i z uśmiechem zadowolenia spojrzął na swoje dzieło. Natychmiast przestał się uśmiechać. Jego dzieło było dokładnie widać! Widać jak cholera! Z każdej strony. Tylko ślepy mógł wjechać na coś takiego! Ślepy i głupi! Ani ślepych ani głupich nie brakowało wśród kierowców nieprzyjaciela, ale liczenie na to, że trafi się akurat i ślepy i głupi, oznaczało zdanie się na łaskę niebios.

W ten sposób także można prowadzić wojnę. Jak cholera!

Kątem oka dostrzegł jakiś ruch na polanie. W tej samej chwili uświadomił sobie, że już od jakiegoś czasu nie słychać stukotu toporków. Spod okapu hełmu spojrzął na polanę i zobaczył nadchodzącego Wachowicza. Zadziałał odruchowo. Pochylił się i ruszył przed siebie. Zatrzymał się po kilku krokach, podważył średniej wielkości kamień, butem skruszył trochę zmarzniętej ziemi, puścił kamień i ruszył dalej. Zdążył w ten sposób obsłużyć jeszcze dwa kamienie, zanim Wachowicz pojawił się na skraju drogi.

Woroniecki odwrócił głowę słysząc chrzęst jego kroków i ogarnął spojrzeniem koleinę. Wyglądała ekstra. Cztery kamienie były wyraźnie poruszone; cztery miny założone.

"A ten i tak do czegoś się przypierdoli!" pomyślał. I miał rację.

- Zamaskujcie to jakoś! Przecież to widać na kilometr!

Woroniecki milczał. Milczał, ponieważ dziwny dławiący skurcz znów chwycił go za gardło. Wtedy Sierpiński wyprostował grzbiet w sąsiedniej koleinie. Wzruszył ramionami.

- Ziemia jest gładko ubita i zamarznięta na kość - powiedział. Omijał wzrokiem Wachowicza. Oddychał szybko, rozdymając wąskie nozdrza. Był zły. W lekko ugiętej ręce trzymał saperkę i kołysał nią niedbale; z takiego kołysania łatwo wyprowadzić zamach i rzut. - Ziemia jest gładko ubita - powtórzył. - Widać na niej wszystko. Gówno wróbla też.

Woroniecki zdołał przełknąć ślinę. Udzielił mu się pozorny spokój Sierpińskiego.

- Możemy naścinać trawy i przyrzucić to - powiedział cicho. Miał ochotę na drwiący uśmiech. - Ale wtedy będzie jeszcze bardziej widać.

Wachowicz zignorował go. Przebiegł spojrzeniem wzdłuż kolein.

- Pięć i cztery. Dziewięć. Dziewięć min! I wszystkie widać! - zawołał. - Trzeba było nie zakładać! Wcale!

- Dostaliśmy rozkaz - zauważył Sierpiński.

- A rozkazy trzeba wykonywać - dodał Woroniecki.

Wachowicz spojrział na nich szybko, podejrzliwie, ale był już zbyt długo w wojsku, żeby dostrzec drwinę. A poza tym zdążył przyzwyczaić się do idiotów. Zresztą dla niego każdy szeregowiec, każdy kot był idiotą.

- Trzeba myśleć! - warknął. - To najważniejsze, kurwa! Trzeba myśleć, debile! - Jeszcze raz przebiegł spojrzeniem wzdłuż kolein, ze złością potrząsnął głową. - Zbierać dupy! Dołączyć do reszty! Zaraz ruszamy! - rzucił ostro. Spojrział w lewo. - Sierżant! - wrzasnął. - Na zbiórkę! Biegiem! - Wykonał w tył zwrot. Obejrzał się. - Wy też! Biegiem!

- Jak żołnierz się porusza? - zapytał Sierpiński wyłażąc z drogi na polanę.

- Biegiem - odpowiedział Woroniecki. - Albo czołganiem. Normalnie chodzić może tylko kapral. Albo oficer. Albo zwyczajny człowiek.

- Ile założyłeś min?

- Jedną.

- Ja też.

Woroniecki roześmiał się. Biegli już w stronę stojących wokół porucznika Stanisławskiego żołnierzy.

- Dlaczego skurwiel uwierzył, że w dwóch, w tych warunkach, w dziesięć minut, zdołaliśmy założyć aż dziewięć min? - zapytał Sierpiński.

- Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz?

Porucznik Stanisławski póleżał na noszach, sporządzonych z dosyć grubych, ociosanych z gałęzi drzewek, wokół których zapięto trzy panterki. Rybka, Filipczak i Józków właśnie kończyli zakładać na gołe mundury zdjęte przed chwilą oporządzenie. Woroniecki wzdrygnął się. Nie było specjalnie zimno, ale przecież nie należało do przyjemności wystawianie się na pięciostopniowy mróz w samym tylko mundurze. Wiedział jednak, że niedługo wszyscy rozgrzeją się, i to aż za mocno.

Spojrział na drągi wystające spod panterek i pomyślał, że absolutnie nie ma ochoty ich dźwigać. Trącił w bok Sierpińskiego i sam, bez rozkazu, ruszył w stronę złożonego na boku sprzętu. Podniósł radiostację, ale w tym samym momencie uświadomił sobie, że jest to przedmiot stosunkowo lekki, który na dokładkę można nieść na plecach mając obie ręce wolne. Odstawił radiostację, zawahał się, a potem sięgnął po płytę oporową mózdzierza kaliber 82. Założył ją na ramię i odwrócił się. Napotkał wzrok Sierpińskiego, sceptyczny, nawet nieco drwiący. Wtedy kapral Wachowicz zaczął wydawać rozkazy i Sierpiński zrozumiał w czym rzecz, trochę jednak zbyt późno: trafiła mu się radiostacja i miejsce z lewej strony z przodu noszy. Drugą radiostację i miejsce obok Sierpińskiego dostał Józków. Z tyłu noszy stanęli Rybka i Filipczak, dodatkowo objuczeni łódkami zawierającymi pociski do mózdzierza. Trutowski chwycił dwójnog, a Nowak lufę. Dwie ostatnie łódki zafasował Sierżant. Kapral Wachowicz - oczywiście niczym nie

obciążony - donośnym głosem wydał komendę i zajął miejsce na czele niewielkiej kolumny. Porucznik Stanisławski mocno uchwycił się brzęgów noszy.

- Tylko mnie nie wywalcie! - zawołał.

Dosyć szeroką krętą ścieżką ruszyli na południe. W las. Oczywiście biegiem.

2.

Woroniecki biegł. Długie i sprężyste łapy świerków raz po raz dzwoniły o hełm, siekły po twarzy, po oczach. Twarda ubita ścieżka krętym szlakiem nawijała się pod buty, bez amortyzacji uderzała w pięty, w zgrzytliwych poślizgach napinała mięśnie nóg, napinała mięśnie całego ciała wygiętego w chybotliwym balansie. Umiał biegać na rozkaz, umiał bez zbytniego zmęczenia pokonywać nawet duże odległości, tym razem jednak już po kilkudziesięciu metrach zrozumiał, że ten bieg szybko wyczerpie jego siły.

Porucznik Stanisławski od dawna, praktycznie od pierwszego dnia unitarki, uznał w nich artylerzystów i nigdy - nawet na szkolenia z taktyki piechoty - nie kazał zakładać tornistrów; tornistry artyleria woziła w samochodach służących do transportu dział, amunicji i obsługi. Dzisiaj jednak i bez tornistrów każdy z nich dźwigał sporo kilogramów. Hełm stalowy. Płaszcz OP-1. Torba po masce przeciwgazowej wypełniona minami i granatami. Maski przeciwgazowa. Karabin AK-47 z magazynkiem zawierającym trzydzieści naboje. Bagnet. Saperka. Toporek. Trzy zapasowe magazynki z dziewięćdziesięcioma nabojami. Dodatkowo łódki z granatami do moździerza, dwójnóg, lufa, dwie radiostacje i nosze z porucznikiem Stanisławskim. Woroniecki przerzucał z ramienia na ramię żeliwną płytę oporową o wadze dwudziestu kilogramów. Ta płyta dobijała. Bez niej mógłby śmigać niczym jeleń, niczym chart, niczym kapral Wachowicz, który jak pies owczarski krążył wokół coraz bardziej rozciągającej się kolumny.

Dziesięć minut biegu. Piętnaście. Dwadzieścia. Kwaśny ból rozmiękczający mięśnie nóg, gorzki ból dławiący płuca, cierpki ból przygniatający ramiona. Podzwanianie hełmu o płytę oporową coraz słabiej słyszane przez charkotliwy oddech i narastający łomot pulsu w skroniach. Wąska ścieżka wijąca się jak trop rannego żołnierza. Nieliczne podmokłe polanki. Drapieżna zieleń długich świerkowych łap co chwila siekająca po twarzy.

Jeszcze kilka minut. Jeszcze kilka metrów.

Postój!

Rzucił płytę oporową natychmiast; twarda ziemia jęknęła pod ciężkim żeliwem. Rozkołysana gałąź zabrzęczała o hełm, smagnęła załamane oczy. Wykonał spóźniony unik, zasłonił się ramieniem, na rozpalone mrozem dłonie przyjął kolejne uderzenie ostrych igieł, usiadł dając ulgę nogom, zdjął hełm, rękawem panterki osuszył twarz i oczy, oddychał łapczywie, szeroko otwartymi ustami, czując jak gorzki ból powoli gaśnie w płucach.

Już lepiej.

Rozejrzał się. Ścieżkę ukrytą między drzewami spowijał nieprzyjazny mrok, wysokie świerki szeroko i drapieżnie wyciągały iglaste łapy, jakby chciały ich zagarnąć w głąb ciemnego wnętrza lasu, ponurego w swym bezruchu i milczeniu.

Wzdrygnął się czując pierwsze macki zimna wpełzające pod panterkę, postawił kołnierz, wziął hełm, otarł go z igliwia i nałożył na spocone włosy, poprawił karabin ugniatający kręgosłup.

Już dużo lepiej.

Wyjął zza pasa szmaciane rękawiczki, wciągnął je na sparzone mrozem dłonie, podkulił kolana, objął je ramionami i tkwił tak długą chwilę, oddychając coraz wolniej, napierając kolanami na klatkę piersiową, jakby chciał zmusić rozdygotane serce do spokojniejszej pracy.

Już prawie dobrze.

Puścił kolana, zdjął rękawiczki i wepchnął je za pas. Zgrabiałymi palcami jeszcze raz przetarł oczy. Podniósł głowę. Rozejrzał się.

Zobaczył kaprała Wachowicza stojącego pośrodku ścieżki, z pogardliwym uśmiechem przyglądającego się żołnierzom, tym smutnym strzępom szarozielonych szmat. Zobaczył porucznika Stanisławskiego półleżącego na noszach, z uwagą przyglądającego się dużej, złożonej w harmonijkę mapie sztabowej. Zobaczył kanoniera Rybkę z paczką papierosów w dłoni.

Już zupełnie dobrze.

Uśmiechnął się i sięgnął do kieszeni.

- Kto pozwolił palić? - zawarczał Wachowicz i zgarbił się, skupił w sobie jak podrażniony buldog. - Kto pozwolił palić, pytam się? Nie ma żadnego palenia! Nieprzyjaciel blisko! Możemy zostać wykryci! Nie ma żadnego palenia!

Uśmiech zniknął z twarzy Rybki. Woroniecki zamarł z ręką w kieszeni. Porucznik Stanisławski obojętnie podniósł głowę. Spojrzał na Wachowicza, potem na żołnierzy.

- Kondycja do dupy, panowie - powiedział. - Papierosy jej nie pomogą. Poprawcie kondycję, a będziecie mogli palić do woli.

Porucznik Stanisławski oczywiście nie palił. Porucznik Stanisławski codziennie przynajmniej przez godzinę pracował nad swoją kondycją, ćwicząc specjalną sztangą do siódmych potów. Porucznik Stanisławski miał kondycję lepszą niż oni wszyscy razem wzięci. A tymczasem złośliwy los sprawił, że już na początku akcji został ranny w nogi i musiał podróżować na noszach, do szczętu rozpieprzając i tak wątlą kondycję swoich żołnierzy.

Woroniecki wyjął rękę z kieszeni. Powoli przekręcił się trochę w bok, bo przewieszony przez plecy karabin gniótł go w kręgosłup. Odwrócił głowę. Zacisnął zęby. Spod okapu hełmu widział nogi kaprała Wachowicza. Coś chciał zrobić. Co mógł zrobić? Opluć te nogi? Czemu nie, miał tak dużo śliny w ustach.

Odwrócił głowę i splunął w las.

Wtem gdzieś daleko, na północy, rozległa się głucha tępa detonacja. Wszyscy podnieśli głowy i jak na komendę zwrócili je w stronę, z której przybyli. Nawet porucznik Stanisławski spróbował spojrzeć przez ramię.

- Mina? - rzekł zdziwiony. - Dopiero teraz?

- Powinni dotrzeć na miejsce naszego lądowania przynajmniej kwadrans temu - powiedział kapral Wachowicz z namysłem. - Woroniecki i Sierpiński założyli dziewięć min. Tamci mogli którejś nie zauważyć i nadziali się na nią teraz, ruszając w pościg.

- Tak - mruknął porucznik Stanisławski. - Chyba tak.

Woroniecki wstał, rozprostował ramiona. Sierpiński siedział po tej samej stronie ścieżki, kilka metrów za noszami, wsparty plecami o drzewo. Gapił się na kaprała Wachowicza z głupawym uśmiechem. Teraz spojrzął na Woronieckiego, bezradnie zamrugnął powiekami, potrząsnął głową i zacisnął usta; wyglądał, jakby miał zamiar ryknąć śmiechem.

Woroniecki podszedł do niego. Przykucnął.

- Nawet ślepej kurze trafia się kiedyś ziarno - powiedział cicho.

- Dziewięć min! - stęknął Sierpiński. - Ten głąb w to wierzy! O kurwa!

Nie wyrobił i jednak zachichotał głośno, piskliwie.

- Co wam tak wesoło? - szczechnął kapral Wachowicz.

Woroniecki odwrócił głowę.

- Palić nie wolno, śmiać się nie wolno! - powiedział. Przesunął wzrokiem po kolegach, spojrzął na porucznika Stanisławskiego. - To co w końcu wolno?

- Śmiać się wolno - rzekł porucznik. - Byle nie za głośno - dodał. Chwilę mierzył Woronieckiego spojrzeniem, a gdy ten uparcie nie odwracał głowy, uśmiechnął się nagle. - Palić też wolno.

Natychmiast zaszeleściły paczki papierosów, trzasnęły zapalki, z obu stron dróżki uniosły się niebieskawe kłęбки dymu. Tylko Trutowski i Wachowicz nie palili. Ten ostatni podszedł do porucznika Stanisławskiego. Obaj pochylili się nad mapą.

Sierpiński zaciągnął się dymem aż do pępka.

- Dwie miny założone tak, że widać je na kilometr - powiedział cicho. - Jaki kretyń się na nie wpieprzył?

Woroniecki wzruszył ramionami

- Daj spokój, Janie - mruknął. - Pewnie sprawdzili pierwsze kamienie, zobaczyli, że są puste, uznali, że reszta także, a wtedy któryś wjechał na ostatnią minę, no i...

- No i mamy pułapkę.

- Właśnie. Sprytną pułapkę. Wykonujemy rozkazy. I myślimy. Jasne, Janie?

- Jasne, Macieju.

Kapral Wachowicz wyprostował się; narada z porucznikiem Stanisławskim była nadzwyczaj krótka.

- Koniec palenia! - zawołał. - Zbierać sprzęt! Ruszamy!

Woroniecki wstał.

- Zmienić cię, Janie? - spytał.

Sierpiński pokręcił głową i załadował na plecy radiostację.

- Nie trzeba - odparł. - To całe barachło jest lżejsze od twojej płyty. Jak się znam na robieniu dzieci, najdalej za godzinę nadziejemy się na tamtych i grzecznie powędrujemy do niewoli. Albo Wachowicz zrobi z siebie bohatera i da nas wystrzelać. Czy tak, czy tak - wojna finita.

Ruszyli. Już nie biegiem. Widocznie porucznik Stanisławski uznał, że wystarczająco odsadzili się od pościgu. A może chciał, żeby wojsko miało dosyć sił podczas spodziewanego lada chwila kontaktu z nieprzyjacielem.

Szli szybko. Szli tak szybko, jak pozwalał na to niesiony ciężar. Szli wciąż na południe.

- Jeszcze kawałek i odbijemy na wschód - powiedział kapral Wachowicz do porucznika Stanisławskiego, gdy po raz kolejny mijali jego nosze okrążając w niespokojnym biegu niewielką kolumnę.

Nie zdążyli odbić. Docierali właśnie do szczytu małego pagórka, gdy dostali ogień z przodu. Nieprzyjaciel nie wytrzymał nerwowo, pospieszył się. Gdyby poczekał, aż wszyscy miną szczyt, mógłby skosić cały oddział, a tak zaliczył tylko Wachowicza, który wysforował się na czoło kolumny.

- Kapral Wachowicz ciężko ranny. Postrzał w brzuch - powiedział podporucznik Waław Bilecki. I tej wiadomości nie puścił w eter, tylko zapisał w notesie.

Reszta wojska wycofała się szybko, bez popłochu i strat. Szczyt pagórka zasłonił ich przed ogniem nieprzyjaciela. Zbili się w ciasną gromadkę wokół noszy porucznika Stanisławskiego i leżącego pod drzewem Wachowicza.

- Koniec - mruknął Sierpiński do Woronieckiego.

Ten skinął głową. Tak, koniec. Zostali unieruchomieni. Obojętnie, jakie zadanie mieli wykonać, teraz już nie byli do tego zdolni. Dwóch rannych. Dowódca i jego zastępca. A ich tylko ośmiu, akurat komplet do niesienia noszy. Musieliby zostawić moździerz. Całkowicie straciliby szybkość i manewrowość. A po godzinie - albo wcześniej - resztę sił. Żeby mieć jakąś szansę, musieliby

porzucić rannych, a tego nie mogli zrobić; obaj ranni znali cel akcji; pięć minut po ich odnalezieniu nieprzyjacieli znalazłby go także. A wtedy żadnych szans... Wtedy koniec. Tak zresztą jak i teraz.

Porucznik Stanisławski nie wyglądał na zmartwionego, przeciwnie: nawet uśmiechał się lekko. On wiedział, że to jeszcze nie koniec, choć oczywiście orientował się, że zadania nie zdołają wykonać. Ale wiedział również, że jego żołnierze nie ośmielą się siedzieć bezczynnie i czekać na niewolę, wiedział, że zetną następne dwa chojaki, zmontują nosze, ułożą na nich Wachowicza i będą ganiać do utraty sił po tym rozległym lesie, obciążeni ponad miarę, nie myśląc już o celu akcji, o godzinę czy dwie oddalając nieuchronną klęskę.

Kretynizm. Motywowany strachem.

"Gdybym ja dowodził...!" pomyślał Woroniecki zaciskając zęby.

To co? Co by zrobił? Rozkazał poddać się? To byłoby oczywiście najrozsądniejsze wyjście, a jednocześnie najgłupsze, jeżeli dbało się o własną kocią przyszłość, tę bliższą i dalszą.

Nie, lepiej nie prowokować losu.

- Zostało samo kociarstwo! - stęknął kapral Wachowicz.

Słyszając to Woroniecki zrozumiał, że los już został sprowokowany. Poczul na sobie wzrok porucznika Stanisławskiego. "Johnny, nie wygłupiaj się!" pomyślał w panice.

- Dowództwo przejmuje kanonier Woroniecki! - usłyszał.

Nikt się nie zdziwił. No tak, żołnierze właśnie tego się spodziewali. Nie mogło być inaczej. "Zostało samo kociarstwo". Właśnie. Wśród tego kociarstwa tylko on mógł dowodzić. Po nim Sierpiński albo Rybka. Po nich ewentualnie Nowak albo Broniek Józków.

- Będę ci pomagał - powiedział porucznik Stanisławski. Denerwowało go przeciągające się milczenie Woronieckiego. - Oczywiście w miarę sił i możliwości. W końcu nie mogę się ruszać. Ale uważaj! - ostrzegł. - Zmienię każdy głupi rozkaz. Uważaj!

- Albo całkowicie przejmuje dowództwo, albo wcale! - powiedział Woroniecki impulsywnie.

- Tu nie bazar, żebyś się targował! - rzekł porucznik ostro. - Dostałeś rozkaz i masz go wykonać!

Woroniecki zawahał się. Szybko spojrzął na Sierpińskiego, po czym objął wzrokiem kolegów. Kociarstwo. Ubezłasnowolnione niedawną unitarką, starte na jednolitą szarą masę, ganiane w te i nazad kretyńskimi rozkazami. Czy mógł coś dla nich zrobić? Chyba nie...

Zobaczył dowódcę i Wachowicza. Dla nich mógł coś zrobić. O tak! Ale czy warto...? Czy warto uświadamiać im, co osiągnęli intensywnie pracując nad kociarstwem w ciągu czterech ostatnich miesięcy? Czy rozumieją to? Czy to do nich dotrze?

Stali na wąskiej krętej ścieżce, otoczeni zwartym murem ciemnego lasu. Wysokie świerki wyciągały do nich długie iglaste łapy, ale zieleń tych łap już nie była drapieżna, zbladła jakby, upodobniła się do koloru mundurów, zaczęła się z nimi maskująco zlewać. Las wydawał się szerszy i bardziej przyjazny, w jego ciemnym wnętrzu łatwo mogli znaleźć schronienie.

- Wykonujemy zadanie bojowe - powiedział porucznik Stanisławski. Był rozczarowany. I zły. - Wiesz, co grozi za odmowę wykonania rozkazu w takich warunkach?

"Sam tego chciałeś, Johnny!" pomyślał Woroniecki.

- Przejmuje dowództwo! - wrzasnął.

Porucznik rozpogodził się odrobinę, ale nie wyglądał na zachwyconego; zapewne spodziewał się, że Woroniecki okaże więcej entuzjazmu.

- Odsuńcie się! - rozkazał żołnierzom i poparł to ruchem ręki. - A ty chodź tu! - rzekł do Woronieckiego i podsunął sobie mapnik.

Woroniecki przykucnął obok noszy.

- Jesteśmy tutaj. - Porucznik dotknął mapy i dał Woronieckiemu kilka sekund na przyjrzenie się, po czym przesunął palec w dół, na południe i zatrzymał go obok długiej, biegnącej ze wschodu na

zachód kreski. - Sto metrów stąd, za wzgórzem, jest droga - rzekł i znów przesunął palec nieco w dół. - Z tego pagórka, zza drogi, dostaliśmy ogień. To posterunek nieprzyjaciela. Jeden z wielu za drogą. - Ponownie przesunął palec w dół i zatrzymał go na niebieskiej pofałdowanej wstążce. - Rzeka. Są na niej cztery przeprawy - oświadczył i wskazał je kolejno. - My, dokładnie o czternastej, mamy zaatakować i zdobyć północne podejście do tej przeprawy. Musimy utrzymać je do czternastej piętnaście, ani minuty krócej, kilka minut dłużej. Zrozumiałeś?

- Tak - mruknął Woroniecki. Wyciągnął rękę. Porucznik zawahał się, ale oddał mapę. Woroniecki przyjrzał się jej w skupieniu.

Sztabówka. W cywilu myślał, że zna się na mapie, ale tak naprawdę nauczył się ją czytać dopiero na kursie rachmistrzów, a więc przed miesiącem, w styczniu. Tutaj, na poligonie, porucznik Stanisławski udzielił mu kilku korepetycji. Pożyczył terenowy samochód od pułkowego szefa artylerii, Woronieckiego posadził obok kierowcy z mapą w ręce, kazał założyć hełm, a sam usiadł z tyłu bawiąc się stalowym wyciorem od kałasznikowa. Ruszyli dwudziestką na bezdroża poligonu. Woroniecki konfrontując mapę z terenem musiał mówić, co za chwilę będą mijali. Wzgórze z lewej. Krzyżówka. Mostek. Ścieżka z prawej. Bród. Podmokła łąka. Wysokie drzewo. Rzeka. Most. Gdy się pomylił, wycior natychmiast spadał na hełm; przez kilka minut w głębi czaszki huczały wszystkie dzwony świata.

Po dwóch lekcjach mogli już jechać trzydziestką, a jeśli pozwalał na to stan nawierzchni - czterdziestką.

Teraz wiedział dokładnie, gdzie się znajduje. Wiedział, gdzie jest biegnąca ze wschodu na zachód długa droga i - położona trochę dalej na południe - równoległa do niej rzeka. Wiedział, że najdalsza przeprawa jest na zachodzie, dziesięć kilometrów stąd, a najbliższa - cel akcji - dwa kilometry na wschód. Między drogą a rzeką ciągnęły się w jednym paśmie niezliczone pagórki. Część z nich, jak ten, z którego dostali ogień, nieprzyjaciel na pewno obsadził posterunkami w taki sposób, żeby skutecznie zapewnić sobie panowanie nad drogą. A przecież trzeba było przejść przez drogę, żeby dotrzeć do rzeki i przeprawy. Przejść tak, żeby nie ściągnąć na siebie głównych sił nieprzyjaciela, które od północy podążały ich tropem.

Nic prostszego. Wystarczy zwabić nieprzyjaciela gdzieś daleko, najlepiej na zachód, do odległej o dziesięć kilometrów przeprawy. Nim zdąży wrócić zaalarmowany walką, oni wykonają zadanie.

Mapa. Teren. Rzut oka na mapę. Rzut oka na teren. Czterdziestka na liczniku. Myślenie, kalkulacja, wynik. I brzdęk! Wyciorem po hełmie! Dzwony huczące pod sklepieniem czaszki. Błąd? Ależ tak: ranni...

Zawahał się. Nie dlatego, żeby miał jakieś skrupuły, żeby musiał coś w sobie łamać. Skądże! Pomyślał po prostu o przyszłości, o tym, co się stanie, gdy mimo wszystko nie wykona zadania. Nagle wzruszył ramionami. Położył mapę na ziemi, zdjął hełm i karabin, wręczył Sierpińskiemu i kazał odsunąć się z tym żelastwem. Wyjął kompas i zorientował mapę ze stronami świata. Szybko ustalił dwa azymuty. Podniósł wzrok.

- Czy kapral Wachowicz zna cel akcji? - spytał.

- Tak. - Porucznik Stanisławski kiwnął głową.

Woroniecki podniósł mapę i kompas. Wstał i odwrócił się. Ruchem ręki przywołał wojsko. Wziął hełm od Sierpińskiego i wsadził na głowę. Wziął karabin, ale nie założył go na plecy, zaczął bawić się bezpiecznikiem, a po chwili jakby zapomniał o tej zabawie i pozostawił bezpiecznik w pozycji pozwalającej prowadzić ogień pojedynczy.

Patrzył na kolegów, jakby wybierał, któremu powierzyć wykonanie samodzielnego zadania. Ale nie musiał wybierać. Znał ich. Do jego celu nadawali się Nowak, Sierpiński i Rybka. Ewentualnie Broniek Józków. Filipczak i Sierżant samodzielnie potrafili się odlać, wysrać, zerznąć dziewczynę, którą i tak musiał poderwać dla nich ktoś inny. Ochlać się też umieli. Poza tym niewiele więcej.

Trutowski potrafił myśleć, to fakt, ale jego myślenie było dziwnie spaczone; ot, podoficerski przydupas, prawie na pewno kapuś; szmata.

- Kanonier Nowak! - zawołał.

- Jestem! - Nieduży, szczupły, czarnowłosy żołnierz wyprężył się gwałtownie. Miał ciemne bystre oczy, żywą chudą twarz, odstające uszy i gęste czarne wąsy. Jego mundur był czyściutki i dopasowany, a panterka lśniła nowością, w przeciwieństwie do ubiorów pozostałych żołnierzy, niekształtnych, zbyt wielkich i mocno brudnych.

- Nowaczku, jesteście tutaj. - Woroniecki podetknął mu mapę pod nos. - Ta kreska to droga, jakiś kilometr stąd, o tam! - rzekł i machnął ręką za siebie, w kierunku północno-zachodnim. - Azymut trzysta dziesięć. Dotrzesz do niej przez las. Weźmiesz Sraczkę... kanoniera Trutowskiego - poprawił się. - Ty dowodzisz.

- Tak jest!

- Rozkaz! - krzyknął Trutowski, lat dziewiętnaście, kanonier, ogólnie znany pod ksywką Sraczek. Miał okrągłą dziecięcą twarz z zadartym nosem, wielkimi błękitnymi oczami i rumianymi policzkami pokrytymi jasnym puchem, który nie częściej niż raz na tydzień wymagał golenia.

- Ta droga prowadzi prosto na zachód, a potem skręca ostro na północ - kontynuował Woroniecki. Mówił tylko do Nowaka; ochoczo wyprężonego Trutowskiego ignorował zupełnie. - Dotrzesz do zakrętu, to mniej więcej dziesięć kilometrów stąd. Musisz się spieszyć, masz na to dwie i pół godziny. Droga jest dostatecznie szeroka, żeby mogły jeździć samochody, więc nie nadziej się, nie daj się zaskoczyć. Jasne, Nowaczku?

- Jasne.

- Na zakręcie odbijesz prostopadle w lewo, na południe, w las. Po jakiś stu metrach dotrzesz do innej drogi. Nie wylaż z lasu. Za drogą jest pagórek, kompletnie łysy, z dużym drzewem na szczycie. Tam powinien być posterunek nieprzyjaciela. Tam m u s i być posterunek. Zaatakujesz go. Punktualnie o trzynastej czterdzieści pięć. Zrobisz dużo szumu. Weźmiesz karabiny kaprała Wachowicza i kanoniera Rybki. Strzelaj, rzucaj granaty. Daj czadu! Ale nie wywal wszystkiego od razu, niech ci wystarczy amunicji na dziesięć-piętnaście minut. Rozumiesz?

- Tak.

- W porządku. - Woroniecki chciał się odwrócić.

- Zaraz! - powiedział Nowak szybko. - A co mam zrobić, jeśli nie będzie tam posterunku?

- Będzie! Tam m u s i być posterunek! - rzekł Woroniecki twardo, z przekonaniem. - A jeśli nie... Mniej więcej sto metrów za drogą jest przeprawa na rzece. Zaatakujesz przeprawę. Też ostro, z hukiem i czadem! Jasne?

- Jasne! Mam ruszać?

- Za chwileczkę. Weź karabiny Rybki i Wachowicza i czekaj.

- Rozkaz!

- Kanonier Sierpiński! - zawołał Woroniecki.

- Jestem!

- Janie, ustaw na kompasie osiemdziesiąt pięć - powiedział Woroniecki i pokazał Sierpińskiemu mapę. - Patrz, tutaj jest polana, jakieś dwa kilometry stąd, prawie dokładnie na wschód. Musisz tam być jak najszybciej, na przełaj przez las, biegiem. Z polany odbijesz w prawo, na południe. Przejdiesz pięćset metrów i dotrzesz do drogi. Nie wychodź z lasu. Za drogą będą dwa łyse pagórki. Na jednym z nich musi być posterunek. Chcę, żebyś ustalił na którym. Dokładnie, co do metra. Weźmiesz lornetkę dowódcy i będziesz obserwował. Zostaniesz tam, aż ja do ciebie dotrę. Jasne?

- Jasne. Co z radiostacją? Zostawić?

- Musisz zabrać. My i tak będziemy mieli co tachać. Urypiemy się jak dzikie świnię.

- W porządku. Mam ruszać?

- Zaczekaj chwilę.

Woroniciecki odetchnął głęboko. Czubkiem języka zwilżył nagle suche usta. Odwrócił się, z ociąganiem zrobił dwa kroki i stanął nad rannymi. Porucznik Stanisławski przyglądał mu się z zainteresowaniem.

- Całkiem nieźle jak na początek - powiedział. - Wydałeś sporo rozkazów, więc chyba masz jakiś plan. Musisz mnie z nim zapoznać. Nie zapominaj, że w każdej chwili mogę twoje rozkazy zmienić.

- Nie zapominam - mruknął Woroniciecki i zerknął na Wachowicza. Zobaczył bladą, zaciętą w grymasie złości twarz, zaciętą od chwili, gdy wrywając do przodu oberwał serię w brzuch i w tak idiotyczny sposób stracił możliwość dowodzenia akcją, możliwość popisania się swoimi umiejętnościami; to wrywanie naprzód i nie ubezpieczanie kolumny w marszu, świadczyło o braku umiejętności i wystarczało za cały popis. "Ty głupi gnoju!" pomyślał. Z satysfakcją. I z nienawiścią.

- A więc? Słucham?

Spojrzał na porucznika. "I po co ci to było, Johnny?" pomyślał. "Po jaką cholere te kretyńskie rany nóg? Chciałeś, żebyśmy wypłuli z siebie płuca, żebyśmy wyglądali jak mokre szmaty, które ty mógłbyś wyżyć i rzucić w ką, by udowodnić nam, że do niczego się nie nadajemy, że wciąż jesteśmy cywilbandą. Ale to nieprawda, Johnny. Już zrobiłeś z nas żołnierzy, a przynajmniej ze mnie, i – to żołnierzy na swoją modłę. Przekonasz się. Za chwilę."

- Nowak i Trutowski zaatakują na zachodzie odległy posterunek nieprzyjaciela, piętnaście minut przed czasem - powiedział.

- Ciszej! - syknął porucznik Stanisławski. No tak, żołnierze stali tylko dwa kroki z tyłu i wszystko słyszeli. - Chodź tutaj! Do mnie!

Woroniciecki pokręcił głową.

- Jeżeli teraz któryś wpadnie, to i tak całą akcję trafi szlag - powiedział.

Porucznik Stanisławski gniewnie zacisnął szczęki.

- Dobrze. Mów dalej.

- Te piętnaście minut powinno wystarczyć nieprzyjacielowi do skoncentrowania większości sił na zachodzie, dwanaście kilometrów od naszego celu. Wtedy ruszymy. Zaatakujemy posterunek wykryty przez Sierpińskiego. Zniszczymy go. Zaatakujemy przeprawę. Od posterunku to tylko sto pięćdziesiąt metrów przez las i łąkę. Dobrze by było podejść skrycie i równocześnie uderzyć na oba cele. Może się uda. Użyjemy moździerza. To zapewni nam niezbędną przewagę.

Porucznik Stanisławski nagle zamrugał powiekami.

- Zaraz... - mruknął podnosząc rękę. - Wysyłasz Nowaka, Trutowskiego i Sierpińskiego. Zostaje pięciu. Chcesz zabrać moździerz. A jak zamierzasz przenieść mnie i kaprala Wachowicza?

- Nie zamierzam was przenosić, obywatelu poruczniku.

Po tym oświadczeniu, złożonym spokojnym opanowanym głosem, przez kilka długich sekund panowała cisza.

- Chcesz nas zostawić?

- Nie mogę - powiedział Woroniciecki. Skrzywił się. Potrząsnął głową. I zaczął wyjaśniać. - Znacie cel akcji. Znacie plan ataku. Nieprzyjaciel wydobędzie to z was w ciągu pięciu minut. Do tego nie mogę dopuścić. Muszę wykonać zadanie. Obywatel porucznik sam nas tak uczył. Liczy się tylko zadanie. Jest najważniejsze. Prawda?

Porucznik Stanisławski gwałtownie przełknął ślinę i z niedowierzaniem wpatrzył się w Woronicieckiego. Oczywiście już wiedział, ale jeszcze nie chciał dopuścić tego do świadomości.

"A poza tym, Johnny, nie jesteśmy towarzyszami broni, towarzyszami walki. I nigdy nie będziemy!" pomyślał Woroniecki.

- Jesteście balastem powiedział. - Jesteście obciążeniem, które uniemożliwia wykonanie zadania. Muszę się was pozbyć. Muszę was dobić. Tutaj. Zaraz. Na miejscu.

Porucznik Stanisławski gwałtownym ruchem sięgnął do zawieszanej na pasie kabury. Kapral Wachowicz wyciągnął rękę, bezskutecznie szukając karabinu zabranego przez Nowaka.

Woroniecki szarpnął suwadło przeładowując broń, po czym dwukrotnie nacisnął spust. Krzaczasty płomień dwa razy bluznął z wąskiej lufy. Dwa strzały przetoczyły się przez las zamierającym echem. Za wzgórzem zaszczekał krótką nerwową serią nieprzyjacielski posterunek.

- O kurwa twoja twarz! - stęknął kanonier Rybka.

Woroniecki dla pewności jeszcze dwukrotnie nacisnął spust. Znów zamierające echo wystrzałów przetoczyło się przez las, znów odpowiedział mu krótką, nagle urwaną serią nieprzyjacielski posterunek.

3.

Polana była duża, prostokątna, a wylaniała się z iglastego starodrzewu dość niespodziewanie. Porastały ją wysokie, zakonserwowane mrozem wrzosa, pokryte poszarzałymi i przyżółconymi kwiatkami. Gładko ścięte pnie drzew, wystające z ziemi na wysokość kilkunastu centymetrów, gęsto rozsiane pod krzakami, pozwalały przypuszczać, że ktoś kiedyś dokonał albo głupiego, albo rabunkowego wyrębu.

Stanęli na skraju lasu, zziązani jak młode psy po gonitwie za parzącą się suką.

- Tutaj! - wystękał Woroniecki uginający się pod ciężarem płyty oporowej i dwóch łódek z nabojami.

Reszta żołnierzy natychmiast zwała swój ładunek pod nogi. Stali chwiejąc się niepewnie i toczyli wokół otepiałymi spojrzzeniami. Ledwo kontaktowali. Pierwszy ocknął się Broniek Józków, lat dwadzieścia, kanonier, najwyższy z nich i najpotężniejszy, mierzący ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, o wielkiej i nieforemnej głowie pokrytej czarnym kędzierzawym runem. Najpierw przeciągnął się szeroko, aż zatrzeszczały kości, po czym dwoma kopniakami rozgarnął krzak wrzosa i z westchnieniem przysiadł na dużym gładkim pniu. Reszta też poszukała miejsc, na których mogłaby złożyć tyłki.

Kanonier Rybka wyjął papierosy. Nagle zawahał się i pytająco spojrzął na Woronieckiego. Ten wzruszył ramionami.

- Pal. Pal ile chcesz. Zresztą to ty jesteś dowódcą działonu, to ty decydujesz, czy wolno palić.

Rybka już niósł papierosa do ust, gdy jego ręka znieruchomiała w pół drogi.

- Ja? - zdziwił się. - A ty?

- Ja dowodzę całością, ty działonem. Mamy mózdzierz, musimy mieć działon. Ty jesteś jego dowódcą.

Rybka z uśmiechem spojrzął na wojsko.

- Słyszeliście, muły? Jestem dowódcą działonu. Mój pierwszy rozkaz: wolno palić!

Tylko Broniek Józków na tyle już odzyskał siły, że natychmiast sięgnął po papierosa. Po chwili zapalił Paweł Filipczak, lat dziewiętnaście, kanonier, wielkie i mocne chłopisko z pucułowatą twarzą parobka. Oczywiście zapalił też Rybka. Był nieduży, ale bardzo krępy i silny, zwarty. Na swych krótkich i niezwykle wytrzymałych nogach poruszał się z kocim wdziękiem łobuza zawsze gotowego do bójki.

- Naprawdę chcesz wygrać tę zasraną wojnę? - zapytał Woronieckiego.

Ten skrzywił się. Wyjął mapę.

- Ja wiem, że ją wygram - powiedział. - Wystarczy, żeby wszystkie moje rozkazy zostały dokładnie wykonane. I trochę szczęścia.

- Tylko tyle? Twoje rozkazy i trochę szczęścia?

- Tak - mruknął.

Wstał. Rozejrzył się. Niemal natychmiast dostrzegł to, czego szukał: niewielkie zagłębienie w ziemi u stóp siedzącego na pniaku Józkowa.

- Wiechu, tu stanie moździerz. - Wskazał zagłębienie.

- No - mruknął Rybka.

- Lufa tam! - machnął ręką.

- No.

- Ładunek drugi.

- No.

- Do roboty! Postawcie moździerz i przygotujcie pociski. Ja zaraz wracam.

- Działon! Do boju! - ryknął Rybka.

Żołnierze poderwali się z ziemi.

Woroniczki poszedł na południe. Zanim dotarł do skraj lasu, moździerz był już postawiony, a obsługa krzątała się przy granatach. Wyjął kompas, przesunął celownik azymutów dokładnie na północ i zaczął iść w bok. Stanął, gdy czubek igły wskazał muszkę celownika, a w szczybinie widać było bezpiecznik wieńczący lufę moździerza. Obejrzał się. Za plecami miał pień grubego drzewa. Podeszedł do niego, wyjął notes, wyrwał czystą kartkę i zatknął ją pod odstający płat kory.

Wrócił do kolegów.

- No? - mruknął pytająco Rybka.

- Widzisz tę białą plamkę, tam, na drzewie?

- Widzę.

- Ustaw na nią gar.

- Jak na tyczkę?

- Tak.

Rybka podeszedł do moździerza i przykucnął przy celowniku. Woroniczki wyjął tabele strzeleckie, zmierzył odległość na mapie, wyrwał kolejną kartkę z notesu i zapisał na niej kilka liczb.

- Wiechu! - zawołał. Rybka oderwał się od celownika. - Tu masz kąty podniesienia, ten na mój pierwszy sygnał, ten - na drugi. Skoki nie większe niż o podziałkę. Jasne?

- No.

- Teraz idę do Jana. Kąty przeniesienia podam ci, jak wrócę. Nastaw szkiełkę na częstotliwość Jana. Jakby co... wiesz, od razu nadawaj. Mój kryptonim radiowy "Macieju". Twój?

- "Wiechu" - odparł Rybka.

- W porządku.

- Ty... Wygramy?

- Musimy, Wiechu. - Woroniczki schował mapę i tabele celowników. Poprawił oporządzenie. - Nie mamy innego wyjścia.

- Kurwa jego twarz! - powiedział Rybka. - Jak przegramy, to Johnny urwie nam jaja.

- My jemu - zamruczał Woroniczki. - My jemu!

- Oby! - Rybka zacisnął usta.

Janie! - zawołał Woroniczki półgłosem.

Zatrzymał się na małej przecince w odległości nie większej niż trzydzieści metrów od skraju lasu. Stąd widział już prześwitujące między drzewami, wytarte do białego piasku, szerokie koryto drogi.

Cisza. Głęboka. Jakby nienaturalna.

- Janie! - zawołał jeszcze raz.

Znow ciska. Nawet stłumiony pogłos jego wołania nie pałętał się między drzewami. Gdzieś tam wysoko, nad czubkami starych wysmukłych świerków, świeciło słońce, ale tutaj, na dole, było ciemno. I chłodno, chociaż mróz na pewno zelżał i temperatura powietrza wahała się w pobliżu zera. Czuł ten chłód; wilgotna od potu bielizna ostygła pod mundurem i nieprzyjemnym plastrem przylgnęła do ciała; wiedział, że jeszcze sporo czasu upłynie, zanim trochę przeschnie.

Spojrzał na kompas, na celownik azymutów wskazujący południe. Jan musiał być gdzieś blisko, ale w lesie, nawet z kompasem, trudno dokładnie trzymać kierunek, więc to "blisko" mogło oznaczać kilkadziesiąt metrów w lewo albo w prawo.

W lewo? W prawo? Schował kompas i ruszył w prawo, ponieważ las w tym kierunku wspinał się na niewielkie wzniesienie, a ze wzniesienia łatwiej prowadzić obserwację niż z poziomu drogi. Ufał, że Sierpiński jest człowiekiem myślącym. Nie zawiódł się. W połowie stoku usłyszał gdzieś wyżej coś jakby szelest. Stał.

- Janie! - zawołał półgłosem.

- Tutaj! - odkrzyknął Sierpiński i pomachał dłonią.

Jan na pewno należał do ludzi myślących: miejsce do prowadzenia obserwacji wybrał doskonale, na szczycie wzniesienia, gdzie las kończył się jak nożem uciął, a wzniesienie łagodnym trawiastym stokiem schodziło aż do drogi. Widać stąd było dwa obłe, łyse pagórki. Między pagórkami i po obu ich stronach rósł gęsty, mroczny, świerkowy las.

- Posterunek jest na tym pierwszym z prawej, na samym szczycie - powiedział Sierpiński.

Woroniczki wyciągnął dłoń po lornetkę, ale Jan potrząsnął głową.

- Nic nie zobaczysz - rzekł. - Maskują się, jakby wiedzieli, że polujemy na mały.

- A ty widziałeś?

- Tak. Pół godziny temu przejechała tędy ciężarówka pełna wojska. Wtedy jeden podniósł się tam na szczycie. Krzyczeli coś do siebie, ale nic nie rozumiałem.

- Znaleźli Johnny'ego i sprawdzali posterunki - mruknął Woroniczki. - Pewnie myślą, że teraz, bez dowództwa, możemy odwalić coś głupiego.

Objął wzrokiem pagórek, po czym powiódł spojrzeniem wzdłuż drogi aż do ostrego zakrętu, gdzie las wpychał się na pobocza, skutecznie zasłaniając drogę przed oczami ewentualnych obserwatorów. Woroniczki ożywił się: to mogło być to, skryte podejście do przeprawy.

- Dokąd pojechali? - spytał.

- Tam! - Jan machnął ręką na wschód, w stronę zakrętu.

- Słyszałeś, żeby tam dalej, za zakrętem, gdzieś się zatrzymywali? Słyszałeś jakieś krzyki?

- Nie. - Sierpiński pokręcił głową. Zerknął spod oka. - Co ci się błąka po czasie?

- Nie słyszałeś krzyków, więc następny posterunek może być ładny kawałek stąd. Tam, za zakrętem, moglibyśmy przeskoczyć na drugą stronę.

- Nie musieli krzyżeć, posterunek może być przy samej drodze, nie tak jak tu.

- Może.

Woroniczki wyjął mapę i trójkąt artyleryjski. Przyłożył trójkąt do mapy i z zadowoleniem skinął głową.

- No? - burknął Sierpiński pytająco.

- Punktualnie o czternastej mamy zaatakować i zdobyć tę przeprawę. - Woroniczki wskazał na mapie odpowiedni punkt. - Przeprawa, pagórek z posterunkiem i stanowisko moździerza leżą w

jednej linii, dokładnie na osi północ-południe. To ułatwi prowadzenie ognia. Małe korekty na kierunku, małe zmiany celownika.

Sierpiński przyglądał mu się w skupieniu.

- Ty naprawdę chcesz wygrać tę wojnę? - spytał.

Woroniczki milczał przez kilka sekund. Potem wyciągnął rękę.

- Daj lornetkę - powiedział.

- Naprawdę chcesz wygrać? - powtórzył Sierpiński wyplątując się ze skórzanego czarnego paska oplatającego szyję. Wetknął lornetkę w dłoń Woroniczkiego.

- Chcę. Bardzo chcę. I wygram!

- Po kiego chuj? Na co ci to?

- Nie wiem. Może na złość...

- Na złość? Komu?

- Johnny'emu, Wachowiczowi, Wolfowi. I całej reszcie jebanych skurwysynów!

- Odbiło ci?

Woroniczki zacisnął zęby.

- Janie, daj mi spokojnie popatrzeć! - wycodził. - Idź do radiostacji, włącz ją, posłuchaj. Może Rybka czegoś chce. Jego kryptonim "Wiechu", nasz "Macieju".

Sierpiński przyglądał mu się przez chwilę, potem splunął w suchą trawę, poprawił przewieszony przez plecy karabin i cicho zsunął się po zboczach w gęsty cień świerków.

Woroniczki podniósł lornetkę, uchwycił w szkła szczyt przeciwnego pagórka i machinalnie ustawił ostrość. "Naprawdę chcesz wygrać?" pomyślał. "Dlaczego? Po co? Przeciw komu?" Potrząsnął głową, ponownie przysunął lornetkę do oczu i skoncentrował się na obserwacji. Patrzył długo, kilka minut. Nic nie zobaczył. Żadnego ruchu, żadnego metalicznego lśnienia. Maskowali się ekstra.

Naprawdę chciał wygrać? Naprawdę. Dlaczego? To proste. Po tym, jak rąbnął wodza i Wachowicza, musiał wygrać: zwycięzców się nie sądzi.

Przesunął lornetkę w lewo, na ostry zakręt ukryty pod czarnozielonymi skrzydłami lasu. W silnych szklach zobaczył drogę, dziesiątkami kół i gąsienic wytartą do białego piasku. Mniejsze kamienie zostały zmielone na proszek, ocalały tylko te większe, gęsto pogryzione twardą stalą traków, wyglansowane do połysku gumą opon.

Poranne, niespokojne, dokuczliwe podmuchy wiatru ustały jakiś czas temu. Gałęzie świerków zwisały teraz nieruchomo, pogrążone w smętnej drzemce, rzucając na drogę głęboki czarny cień.

Odsunął lornetkę, ogarnął spojrzeniem pagórek i zakręt. Dzielilo je co najmniej dwieście metrów, obserwacja była utrudniona z powodu drzew, a dalej - na zakręcie i za nim - zupełnie niemożliwa. Jan miał rację: drugi posterunek musiał być bardzo blisko. W końcu ta droga była naturalną i ostatnią przeszkodą przed rzeką. Nawet idiota powinien zrozumieć, że trzeba jej dokładnie strzec.

Zresztą po raz pierwszy pod ogień dostali się właśnie wtedy, gdy dotarli do tej drogi, dwa kilometry na zachód stąd.

Zszedł ze wzgórza. Sierpiński siedział na helmie, plecami wsparty o pień rosnącego świerka. Na uszach miał słuchawki; włosy, czarne i lśniące, jak zwykle gładko zaczesane, przecinał łuk - brudnozielonego pałaka.

- I co?

- Nic. Cisza. - Jan trącił butem radiostację. - Tylko to pudło miauczy po swojemu.

Woroniczki wyjął kompas, zwolnił igłę, poczekał, aż się uspokoi, po czym odsunął kompas na wyciągniętej dłoni, jak najdalej od żelastwa, które dźwigał na sobie. Przekręcił tarczę z celownikami azymutów i ustawił muszkę dokładnie na północy. Oddał Sierpińskiemu lornetkę.

- Idę po chłopaków - powiedział. - Wrócę za jakie pół godziny. Przesuń się kawałek za zakręt, może znów będziesz miał farta i ustalisz położenie drugiego posterunku.

Sierpiński zdjął słuchawki.

- Pudło trzymaj włączone - dodał Woroniecki. - Chcę mieć łączność. Daj znać, jak wdepniesz w jakieś gówno.

Sierpiński wstał, podniósł hełm, oczyścił go z igliwia i założył na głowę. Sięgnął po radiostację i załadował ją na plecy.

- Dlaczego ich rąbnąłeś? - zapytał. Niemal obojętnie, z odrobiną zaciekawienia. Sprawiał wrażenie, jakby dowiadywał się o cenę atrakcyjnych zdjęć pornograficznych; zresztą w taki sam sposób dzisiaj rano zapytał Nowaka, skąd ten zdobył na poligonie trzy nowe duńskie "świerszcyki".

- Chciałem... - Woroniecki zawahał się. - Tak, chyba chciałem odciąć sobie odwrót.

- Co?

- Odwrót.

- Co ty smucisz? Gadaj po ludzku, Macieju!

Woroniecki milczał chwilę.

- Z rannymi nie mieliśmy żadnych szans - powiedział powoli, znużonym głosem. - Ale i tak nie mogliśmy się poddać. Johnny by na to nie pozwolił. Bo to niegodne żołnierza, polskiego, socjalistycznego żołnierza. Ganiałibyśmy po lesie dźwigając dwóch rannych bohaterów, ganiałibyśmy jak głupki, do padnięcia na ryje, do drugiej, bo o drugiej upłynie termin wykonania zadania. Potem moglibyśmy się poddać. Albo zdechnąć. Więc musiałem ich rąbnąć...

- Zaraz! Chwila! - Sierpiński gwałtownie machnął ręką. - Musiałeś rąbnąć Wachowicza. W porządku, chwytam, skurwiel zasłużył. Ale wódcz... Jego byśmy jakoś przenieśli...

- Nic nie rozumiesz, Janie - rzekł Woroniecki i pokręcił głową. - To właśnie Johnny'ego musiałem rąbnąć, a Wachowicz wyszedł ot tak, przypadkiem.

Sierpiński szerzej otworzył oczy. Westchnął.

- Chyba zgłupiałem, bo naprawdę nic nie rozumiem - zamruczał.

- Właśnie.

Moździerz przypominał przewróconego na kapelusz grzyba, z lufą jak krótki oliwkowy ogonek ukośnie sterzącą w niebo, podpartą dwójnogiem jak dwiema sosnowymi szpilkami. Trochę z tyłu, ułożone w dwa foremne stosy, leżały granaty.

- Johnny albo Wachowicz kazaliby kopać stanowisko ogniowe - powiedział kanonier Rybka ogarniając całość fachowym spojrzeniem. Obcasem spróbował naruszyć zamrożoną ziemię. Bez powodzenia. - Rypać to saperkami! - pokręcił głową. - Tyrka dla głupiego albo dla żołnierza. A głębiej korzenie tych krzaków...! Stanowisko ogniowe potrzebne tu jak druga dziura w dupie!

Woroniecki podsunął Rybce mapę.

- Patrz, Wiechu, to twój pierwszy cel - rzekł i wskazał pagórek, na którym Sierpiński wykrył posterunek nieprzyjaciela. Przesunął palec na północny skraj przeprawy. - A to drugi.

- Dobra. Widzę.

- Tu masz kąty - podał zapisaną kartkę. - Zostajesz sam. Na mój sygnał walisz do pierwszego celu, na kolejny sygnał - do drugiego. Radiostacja na nasłuchu. Jak nic się nie spieszy, zaczynamy za pięć druga. Kryptonimy bez zmian. Jasne?

- No.

- Kiedy wywalisz wszystkie ogórki, zostaw ten bajzel, spadaj do lasu i czekaj na nasze zwycięskie oddziały. Powitaj je jak trza.

- Dobra, powitam. Nie mam kwiatów, łyzy radości muszą wystarczyć. No i wyglądam jak szmaciarz! - Pokazał rozpiętą panterkę; większość guzików smętnie zwisała na pojedynczych nitkach. - Od tych pieprzonych noszy! - wyjaśnił. - Mój ciuch był akurat pod dupą wodza. A popatrz tu... - Odchylił połą. Podszewka panterki wciąż ciasno przylegała do munduru. Szarpnął mocno. Podszewka odkleiła się z trzaskiem; na niej i na mundurze widać było ciemne, błyskające oleiście plamy.

- Żywica! - warknął.

Trzynasta czterdzieści pięć. Właściwie już trochę po. No tak, ale te kilka minut nie miało znaczenia, przecież nie ustawili z Nowakiem zegarków według jednego czasu.

Właśnie! Nie ustawili! I dlatego różnica może sięgnąć nawet kilku minut. Jak mógł o tym zapomnieć?

Kłęczeli, kucali lub siedzieli za pniami drzew. dwa-trzy metry od drogi, tuż przed zakrętem, ukryci w głębokim cieniu. Podobny cień spowijał drogę, więc na dobrą sprawę mogli już teraz spróbować przeskoczyć na drugą stronę, ale gdyby zostali wykryci, musieliby odpowiedzieć ogniem, czym oczywiście ściągliby na siebie całą uwagę nieprzyjaciela, tracąc przewagę zaskoczenia, a więc i wszelkie szanse na zdobycie przeprawy.

Nie mogli przeskoczyć drogi za zakrętem, wiązało się to ze zbyt dużym ryzykiem, ponieważ Sierpińskiemu - mimo długotrwałej i czujnej obserwacji - nie udało się wykryć następnego nieprzyjacielskiego posterunku; mogli przemknąć niepostrzeżenie, jak również mogli wyjść wprost pod lufy wroga.

No i ta cholerna ciężarówka pełna wojska, którą Sierpiński widział jadącą na wschód. Jeszcze nie wróciła.

Trzynasta sześć. Minuta po czasie. Minuta właściwie nie ma znaczenia, minuta do drobny pryszcz na dupie słonia, nic się przecież nie stanie, jeśli Nowak zaatakuje za kilkanaście sekund czy nawet po upływie kolejnej minuty.

A jeśli w ogóle nie zaatakuje? Jeśli wpadł? Jeśli jeszcze tam nie dotarł? Albo zabłądził?

Dlaczego nie ustawili zegarków? Dlaczego, do kurwy nędzy, nie mieli trzeciej radiostacji?

Nowak nie wpadł. Nie, to niemożliwe! Nie słyszeli przecież żadnej strzelaniny.

A jeśli dał się zaskoczyć? Jeśli wzięli go bez walki? Albo dotarł tak daleko, że odgłosy wystrzałów uszły ich uwadze?

Cholera, co robić? Przeskakiwać tę zasraną drogę? Czy wciąż czekać? Cholera!

Woroniczki poprawił zsuwającą się z pleców radiostację. Podniósł się, otrząpął z igliwia lewe kolano, po czym przyklęknął na prawym. Przechylił karabin, odciągnął do połowy suwadło i obejrzał ciemnozieloną łuskę tkwiącą w ciemnym brzuchu komory naboowej. Sprawdził, czy ramię bezpiecznika znajduje się w położeniu umożliwiającym ogień ciągły. Dotknął zwisających na panterkę słuchawek, musnął przycisk włączający mikrofon. W końcu znów spojrzał na zegarek. Trzynasta czterdzieści siedem. Poczł nagle straszne parcie na pęcherz i odwrócił głowę, żeby poszukać odpowiedniego drzewa. Wtedy usłyszał. Wszyscy usłyszeli. Podnieśli głowy i spojrzeli w bok, w mroczny las, na zachód.

Jakby ktoś wsypał garść drobnych kamyków do aluminiowej miski. Albo zagrał niegłośny, lecz dźwięczny werbel, zamiast na bębnach wybijany na porcelanowych talerzykach. Dopiero echo, napływające przytłumionymi falami ze wszystkich stron, nadało seriom wystrzałów głuchą matowość; jakby dzieciół furiacko stukał w spróchniały pień.

Zaraz potem ciężko stęknęły granaty. Nowak atakował. Atakował!

Woroniczki odetchnął z ulgą. Uśmiechnął się. Dwie minuty po czasie, ale to w końcu nic, to naprawdę pryszcz na dupie słonia. Najważniejsze, że atakował, i to coraz mocniej, jak można było

wnosić z gęstniejących serii, z łomotania granatów. Byle tylko nie dał się ponieść emocjom i nie zaatakował naprawdę, bo wtedy łatwo mógł oberwać. Miał uczynić sporo szumu, miał dać czadu, miał zaalarmować nieprzyjaciela, i tak już pewnie zaniepokojonego ich zniknięciem. Tylko tak dalej, Nowaczku, tylko tak dalej!

Bronek Józków roześmiał się z zadowoleniem. Sierpiński też się uśmiechał. I Filipczak. A nawet Sierżant.

Woroniecki spojrzał na drogę. Skakać teraz? Teraz, gdy uwagę posterunku przyciągnęła strzelanina na zachodzie, a więc dokładnie w przeciwnym kierunku? Tamci patrzyli wprost pod nisko zawieszone słońce, nasycone tężejącą z chwili na chwilę czerwienią. Nawet gdyby przypadkiem odwrócili głowy, będą mieli trudności z zobaczeniem czegokolwiek w gęstym cieniu zalegającym zakręt.

Skakać teraz czy poczekać na przejazd ciężarówki? Bo ciężarówka musi przejechać, musi pognać na zachód, na pomoc swoim ludziom. A może nie pojedzie, może zostanie gdzieś tu, na wschodzie, gdzieś cholernie blisko? Może rozpieprzy jego plan?

Skakać? Czekać? Co robić?

Kurwa!

Wtedy usłyszał narastający warkot silnika, który szybko przerodził się w grzmot. Chwilę później silnik zamilkł, a gwałtownie zgrzytnęły hamulce. I zobaczył ciężarówkę. Kolebiąc się na zablokowanych kołach wpadła w zakręt ze zbyt dużą prędkością; twarde i zamrożone podłoże nie ułatwiało hamowania; oliwkowa kabina, z szybami błyszczącymi odbitym czerwonym światłem słonecznym, waliła wprost na dwa wielkie, zamykające zakręt świerki.

"A niech to szlag!" pomyślał ze złością. Nie wiedział, ilu żołnierzy jest pod budą, ale zrozumiał, że z wypadku uratuje się ich wystarczająco wielu, by w kilka sekund rozstrzelać jego skromny pięcioosobowy oddział.

Wtem zgrzytnęły zmieniane biegi, stęknęły koła uwolnione od hamulców, ryknął silnik podrajcowany sporą dawką paliwa i ciężarówka skoczyła w bok. Kabina szczęśliwie ominęła świerki, część prawej burty także, jednak jej końcowy odcinek z łoskotem rąbnął w pień drugiego drzewa. Zadrzała ziemia, sypnęło się igliwie i zeszkłe szyszki. Ciężarówka zatańczyła na drodze rzucając rozłożystym zadem raz w jedną, raz w drugą stronę. Silnik przycichł nagle, dając się zagłuszyć piskowi hamulców, potem znów zaryczał donośnie. Ciężarówka wyrwała po prostej na zachód. Pod budą siedzieli gęsto stłoczeni żołnierze, kurczowo wczepieni w burty i ozebrowanie; ich twarze lśniły nienaturalną bielą. Nagle plandeka opadła krzywo, jak skrzydło zranionego ptaka, a w niebo wystrzelił kikut złamanej tylnej wręgi.

Woroniecki spojrzał na pagórek i dostrzegł tam jakiś ruch. Podniósł lornetkę. W szklach wyraźnie zobaczył wyprostowaną szarozieloną sylwetkę, z hełmem na głowie, z karabinem w dłoniach. Nieprzyjacielski żołnierz. Wpatrzony w ciężarówkę, odprowadzający ją wzrokiem, coraz bardziej odwracający się plecami.

Poderwał się.

- Skakać! Skakać! Skakać! - zawołał.

Ruszył w stronę drogi. Reszta wojska była trochę zdezorientowana, wahała się jednak nie dłużej niż sekundę. A pięć sekund później wszyscy osiągnęli przeciwny skraj lasu i skryli się w jego przyjaznym cieniu.

Nieprzyjacielskie karabiny milczały.

Woroniecki stał na skraju wąskiej ścieżki i patrzył wzdłuż niej, na północ, na szczyt porośniętego krzakami pagórka, ostro i wyraźnie rysujący się na tle nieba; obeszli wroga, znaleźli się za jego plecami. Nieprzyjacielski żołnierz, jeszcze niedawno temu śledzący wzrokiem swoją

ciężarówkę, już zdążył się ukryć, ale był tam, uzbrojony w karabin, na pewno nie sam. Właśnie dlatego kanonier Rybka czuwał przy moździerzu, w każdej chwili gotowy do otwarcia ognia. Właśnie dlatego kanonier Józków i kanonier Sierzant, uzbrojeni w karabiny i granaty, stali obok Woronieckiego. Pięćdziesiąt metrów za ich plecami świerkowy las kończył się nagle, ustępując miejsca podmokłej łące. Łąka prowadziła wprost do rzeki, wprost do przeprawy, oczywiście bronionej przez nieprzyjaciela. Przeprawa - ich cel. Przed atakiem na cel musieli zniszczyć posterunek na pagórku. Granatami z moździerza. Ostatecznie ogniem z karabinów Józkowa i Sierzanta.

Gdzieś daleko na zachodzie wciąż rozlegały się serie wystrzałów, wciąż głucho dudniły wybuchy granatów. Nowak jeszcze walczył.

Woroniecki spojrział na zegarek. Trzynasta pięćdziesiąt sześć. Uśmiechnął się. Spojrział na Józkowa i Sierzanta. Obaj też szczerzyli zęby, ale widać było, że Józków jest zdenerwowany, a Sierzant i tak niewiele rozumie.

Woroniecki założył słuchawki, wcisnął guzik mikrofonu.

- "Wiechu", tu "Macieju". Słyszysz mnie? Odbiór.

- Słyszę. Odbiór - głos Rybki brzmiał tak czysto i wyraźnie, że Woroniecki rozpoznał w nim maskowany śmiech.

- Wał, "Wiechu". Pojedynczym. Bez odbioru - powiedział.

Przymknął oczy. Czekał. Sześćset czy siedemset metrów to nie jest dużo, nawet dla fruwającego pod obłoki pocisku z moździerza. Huknęło. Otworzył oczy. Znał regulamin strzelania artylerii - Johnny wyszkolił go w tym dokładnie, już tutaj, na poligonie - ale nie zamierzał go przestrzegać, bawić się w obramowanie celu i inne głupoty; była wojna, a na wojnie regulaminy umierają równie często jak żołnierze. Wcisnął guzik mikrofonu.

- Wydłuż celownik o podziałkę, do kąta dodaj zero pięć. Pojedynczym, "Wiechu". Odbiór.

- Wydłużam o podziałkę, dodaję zero pięć. Pojedynczym. Odbiór.

Huknęło. Woroniecki chwilę zastanawiał się, czy przeciągać tę zabawę. Machnął ręką.

- Pocisk w celu! - oświadczył do mikrofonu. - Teraz serią, "Wiechu". Dziesięć ogórków. Przyduś ich! Zawieś z pięć sztuk. Odbiór.

- Za blisko! Pięć nie dam rady! - zaprotestował Rybka. - Ale cztery zawieszę, "Macieju". Odbiór.

Huknęło. I jeszcze raz.

- Posterunek na wzgórzu 136 pod ogniem moździerza - powiedział podporucznik Bilecki i dał znak radiotelegrafiście, a ten puścił tę wiadomość w eter.

Woroniecki przymknął oczy i szeptem liczył wybuchy. Uśmiechał się nieznacznie.

- Cztery. Pięć.

Nagle spoważniał. Moździerz ma spory rozrzut, pocisk spada to tu, to tam, może się zdarzyć, że żaden nie trafi bezpośrednio w cel, tym bardziej gdy jest nim wąski okop.

- Osiem. Dziewięć.

Otworzył oczy, zdjął radiostację, mocniej uchwycił karabin, wymacał granaty w torbie po masce przeciwgazowej, zawahał się, zerknął na Józkowa i Sierzanta (w końcu oni mieli to zrobić), a potem skrajem ścieżki, kryjąc się w cieniu świerków, biegiem ruszył pod górę. Dotarł na szczyt kilkanaście sekund po ostatnim dziesiątym wybuchu. Trzej nieprzyjacielscy żołnierze niepewnie wysuwali głowy z wąskiego okopu. Patrzyli na północ, przed siebie. Z tyłu, od swoich, nie spodziewali się żadnego zagrożenia. Wystarczył jeden granat celnie wrzucony do okopu

Woroniecki zbiegł z pagórka wciąż kryjąc się w cieniu świerków. Zatrzymał się obok Sierzanta i Józkowa. Dyszał. Trochę potrwalo, nim uspokoił oddech. Dwukrotnie rękawem panterki ocierał

twarz. W tym czasie zdążył pomyśleć, że zaczyna rozumieć Johnny'ego, który często rezygnował z powierzania kotom bardziej odpowiedzialnych zadań.

Założył na plecy radiostację, wcisnął guzik mikrofonu.

- Nieprzyjaciel zniszczony, "Wiechu" - powiedział. - Kąt podniesienia na drugi cel, kąt przeniesienia ten sam. Czeka. Odbiór.

- Kąt podniesienia na drugi cel. Czeka. Odbiór - w głosie Rybki znów słychać było z trudem hamowany śmiech. Wojna to jednak fajna zabawa, każdy chłopczyk lubi się w nią bawić. Szczególnie w taką wojnę.

- Posterunek na wzgórzu 136 zniszczony - powiedział podporucznik Bilecki. Ta wiadomość też poszła w eter.

- Na stanowiska! - rzucił Woroniecki do Józkowa i Sierżanta.

Józków ruszył z kopyta, w las, na południowy zachód. Musiał szerokim łukiem obejść łąkę i dotrzeć aż do rzeki.

Sierżant zawahał się, zrobił dwa kroki w stronę wzgórza, stanął i niepewnie spojrzał na Woronieckiego. Potem nagle zobaczył Józkowa znikającego między drzewami, uśmiechnął się drętwo i pognął za nim.

Woroniecki wzruszył ramionami. I daj takiemu idiocie odpowiedzialne zadanie! Traktuj go jak normalnego dorosłego człowieka!

Zsunął z uszu słuchawki, założył hełm, poprawił szelki radiostacji wpijające się w ramiona i szybkim krokiem podążył prosto na południe. Sprawdził godzinę. Dochodziła czternasta.

Odetchnął głęboko. Praktycznie nic już nie mogło mu przeszkodzić w zaatakowaniu przeprawy, a bardzo niewiele w jej zdobyciu.

4.

Właściwie wszystko poszło tak, jak zaplanował. Gdy dotarł do skraju lasu, zobaczył trzech żołnierzy z załogi posterunku mającego bronić północnego podejścia do przeprawy. Stali kilka metrów od rzeki, w dłoniach trzymali karabiny z lufami zwieszonymi ku ziemi i patrzyli niemal dokładnie w jego stronę. Przykucnął więc za przedostatnim drzewem, chociaż żołnierze patrzyli wysoko, na szczyt pagórka, zaniepokojeni moździerzowym atakiem. Odczekał trzydzieści sekund, chciał mieć pewność, że Józków i Sierżant dotrą na swoje stanowiska. Przez ten czas nieprzyjacielscy żołnierze wciąż stali i gapili się gdzieś ponad jego głową. Byli celem lepszym niż tarcze na strzelnicy, znajdowali się w odległości nie przekraczającej pięćdziesięciu metrów. Złożył się do strzału i nacisnął spust. Z lewej strony natychmiast zawtórował mu karabin Filipczaka. Dwie sekundy później odezwał się karabin Sierżanta.

Wypruł z dziesięć pocisków. Gdy opuścił broń, nieprzyjacielskich żołnierzy nie było już na łące. Filipczak przestał strzelać. Sierżant także. Wtedy Woroniecki zorientował się, że Sierżant zawędrował trochę za daleko na południe, że wlaźł niemal na plecy Józkowa - i był to jedyny błąd w całym ataku, reszta poszła wspaniale.

Kanonier Wiesław Rybka wstrzelał się bardzo szybko, i precyzyjnie wymierzoną serią ośmiu granatów przyduśli obronę przeprawy do ziemi. W tym czasie Woroniecki i jego ludzie nie ruszali się z miejsca, unikając rażenia odłamkami.

Woroniecki dostrzegł w odległości kilku metrów od skraju lasu podłużne zagłębienie przecinające łąkę, nikły ślad po rowie melioracyjnym. Gdy spadł ostatni granat wystrzelony przez Rybkę, odkleił się od pnia i ruszył biegiem w stronę zagłębienia, dwukrotnie naciskając spust karabinu niesionego na wysokości biodra. Z lewej i z prawej dostrzegł Filipczaka i Sierżanta, ciemne zgarbione sylwetki sunące przez łąkę, plujące białymi językami ognia. Wpadł do

zagłębienia i ściągnął radiostację, bo nieprzyjaciel ocknął się wreszcie i też zaczął strzelać. Zadowolony, że radiostacja nie ucierpiała, nawiązał kontakt z Rybką i kazał mu walnąć pięć następnych ogórków, czym znów przyduślił obronę przeprawy do dna prowizorycznych okopów.

Ziemia w zagłębieniu była dosyć miękka, bez trudu dobrał się do niej saperką, wyrzucił kilka płatów darni przed siebie tworząc niewielki szańczyk. Wysunął lufę i zaczął strzelać, gdy tylko spadły ostatnie pociski z moździerza. Daleko, niemal nad samą rzeką, zobaczył Sierpińskiego, na czworakach przemykającego wśród kęp wysokiej, sztywnej, bagiennej trawy. Jan szybko zmniejszył dystans dzielący go od okopów nieprzyjaciela. Z drugiej strony, z zachodu, zbliżał się Broniek Józków. Wróg, wciągnięty w wymianę strzałów, jeszcze ich nie widział. Zobaczył, gdy dotarli do skraju okopów i otworzyli ogień. Morderczy ogień wzdłuż wydłubanych w ziemi wysokich na metr ścian, które miały chronić, a nagle stały się pułapką. Ogień, przed którym nie było ucieczki.

Północny skraj przeprawy został zdobyty. Dochodziła czternasta zero osiem. Woroniecki i jego ludzie zajęli pozycje w okopach, przygotowując się do obrony. Wiesław Rybka wydłużył celownik o sto metrów, wstrzelał się trzecim pociskiem, a potem wywalił w jednej długiej serii cały zapas granatów w południowy skraj przeprawy.

O godzinie czternastej szesnastie do okopu podszedł podporucznik Waclaw Bilecki. Z lewego rękawa ściągnął szeroką białą opaskę rozjemcy.

- Całkiem niezłe, Woroniecki - powiedział. Był drugim oficerem w baterii, dowódcą plutonu, a podczas strzelań artyleryjskich pełnił funkcję oficera ogniowego. Miał jasne, trochę za długie jak na żołnierza włosy, jasne oczy i jasną twarz, niemal zawsze uśmiechniętą. Od jakiegoś czasu krążyły uporczywe plotki, że Bilecki ma odejść, a na jego miejsce szykuje się podporucznik Michał Wolf, dowódca plutonu w trzeciej baterii. Wojsko spluwało przez lewe ramię, chcąc odczynić urok, bo Wolf miał opinię głupiego skurwysyna.

- Całkiem niezłe - powtórzył podporucznik Bilecki. - Nie przypuszczałem tylko, że na co dzień potrafisz się tak dobrze maskować. Wreszcie pokazałeś prawdziwą twarz.

Woroniecki znieruchomiał. Akurat zajęty był ściągnięciem z ramienia czerwonej opaski (obok, pokonani obrońcy przeprawy, koledzy z trzeciej baterii i batalionowego plutonu łączności, wstali z martwych, ściągali opaski niebieskie). Zaciśnął zęby i podniósł głowę. Oficer stał na przedpiersiu okopu jak wyniosły posąg na cokole i może dlatego Woroniecki niezbyt dokładnie widział jego twarz, dziwacznie oświetloną promieniami zachodzącego słońca. Wydawało mu się, że na zazwyczaj przyjaźnie uśmiechniętych ustach oficera dostrzega wzdrgający grymas.

- Sam się do wojska nie pchałem - powiedział spokojnie i niemal obojętnie, ale nie panował nad palcami, które gwałtownie mięły czerwoną opaskę. - Wojsko to nie moja specjalność. A tym bardziej wojna. Wszystko, co wiem o wojsku i wojnie, nauczyłem się od obywatela porucznika. I od dowódcy baterii. I od podoficerów. To wy zrobiliście ze mnie żołnierza.

Podporucznik Bilecki uczynił ruch, jakby chciał się odwrócić. Ale wytrwał. I tylko, podobnie jak Woroniecki, zmiał swoją opaskę.

- Tak... Masz rację. Przepraszam - powiedział. I odszedł.

Był jedynym oficerem znanym Woronieckiemu, który wobec szeregowca - jeśli uważał, że popełnił błąd - potrafił przyznać się do pomyłki. J e d y n y m. Ale Woroniecki służył w wojsku dopiero cztery miesiące i przez ten czas twarzą twarzą stanął nie więcej niż z dziesięcioma oficerami.

Potrząsnął gniewnie głową, wygramolił się z okopu.

- Koniec wojny, chłopaki! - zawołał. - Wygraliśmy!

Obok stanął Sierpiński. Skrzywił się.

- Kit nam z tego! - parsknął. - Obiad diabli wzięli. Będziemy zreć zimną bryję!

Pierwsza ciężarówka wjechała na polanę o godzinie czternastej dwadzieścia pięć. Złamany kikut jej ostatniej wręgi sterczał smętnie w niebo, a plandeka zwisała ukośnie, niczym skrzydło zranionego ptaka. Z kabiny wysiadł podporucznik Michał Wolf, który w tej wojnie dowodził "niebieskimi". Spod zwisającej plandeki wyskoczył chorąży Marian Grabowski, dowódca batalionowego plutonu łączności, kolejny rozjemca. Za nim wysypali się żołnierze.

Wolf podszedł do Bileckiego. Idąc kołysał się dziwnie, jak rozbujana wiatrem brzoźka. Był wysoki i chudy, miał szare włosy, twarz nie większą od pięści, obfite rude wąsy i wielki nos.

- Jak to się stało? - zapytał napiętym wysokim głosem. Palcami prawej ręki skubał nerwowo wąsy. - Skąd oni tutaj? Skąd oni tam...! Jak...!

- Sprytna sztuczka, prawie manewr - powiedział podporucznik Bilecki. - A najśmieszniejsze, że pod dowództwem kota.

- Kota?! - wykrzyknął Wolf.

- Kota? Czyżby Woronieckiego? - zapytał chorąży Grabowski podchodząc. Był wysoki i tęgi, czarnowłosy i krągłolicy, a także - podobnie do Bileckiego - niemal zawsze uśmiechnięty.

- Zgadza się, Woronieckiego.

- Który to? - warknął Wolf. Bilecki wskazał, Wolf spojrział. Spojrział wilkiem. No cóż, miał prawo być wściekły, w końcu przegrał tę wojnę. Czy prócz tego czuł się upokorzony, ponieważ przegrał z kotem?

Na polanę wjechały następne dwie ciężarówki. Z kabiny pierwszej wysiadł porucznik Wacław Małycha, dowódca trzeciej baterii, rozjemca, a z kabiny drugiej - porucznik Stanisławski.

- Ale goni! - mruknął Sierpiński, gdy Johnny niemal kłusem ruszył w stronę grupki oficerów. Nagle porucznik zahamował gwałtownie, wbijając się obcasami w zamazaną ziemię.

- Łokietek! - ryknął. Jego wyprostowane jak struna ramię oskarżycielsko wskazywało zwisającą smętnie plandekę i sterczący w niebo kikut złamanej wręgi. - Łokietek! - rozdarł się jeszcze potężniej. - Do mnie!

Z kabiny uszkodzonej ciężarówki, powoli i niechętnie, jak zółw z bezpiecznej skorupy, wysunął głowę ciężko przestraszony żołnierz.

- Do mnie! - zaryczał Johnny. - Biegiem!

- Daj spokój, Tomek - powiedział pojednawczo chorąży Grabowski. - Podczas wypadku nie on prowadził.

- Nie on? A kto, kurwa!

- Ja - odezwał się cicho podporucznik Wolf.

Porucznik Stanisławski powoli odwrócił głowę i spojrział na niego z niedowierzaniem. Poczzerwieniał, chyba chciał coś powiedzieć, ale zdołał tylko parsknąć. Opuścił ramię i strzepnął palcami, jakby próbował oderwać od nich jakieś lepkie świństwo.

- Pogadamy w obozie! - rzekł do kulącego się w kabinie Jerzego Łokietka, lat dziewiętnaście, kanoniera-kierowcy.

- Ja z nim pogadam - zaofiarował się Bilecki. - Tak mu dołożę, że już nigdy nikomu nie odda kierownicy, nawet tobie.

- Dobrze.

- Podobno ten kutas szykuje się do nas na miejsce Bileckiego - zamruczał Sierpiński patrząc na podporucznika Wolfa. - Niech przychodzi. Właśnie zarobił u Johnny'ego pierwsze punkty.

Porucznik Stanisławski zatrzymał się przed Woronieckim.

- Wykonałeś zadanie. Wygrałeś - powiedział. - Zastanawiam się tylko, czy musiałeś zastrzelić mnie i Wachowicza, czy naprawdę nie miałeś innego wyjścia.

"Nic do ciebie nie dotarło, Johnny!" pomyślał Woroniecki z żalem. "Szkoda. Wielka szkoda!"

Opublikowano w tomie opowiadań: Zbigniew Wilczyński „Wierzchołek cienia”, Oddział Łódzki Ogólnopolskiego Stowarzyszenia Literatów, Łódź 2014, s.15-48 na podstawie manuskryptu przekazanego osobiście w wersji elektronicznej (plik Worda) przez Zbigniewa Wilczyńskiego w dniu 10-03-1999 roku na ręce Grzegorza Bazylaka, wówczas stałego współpracownika miesięcznika „PAL- Przegląd Artystyczno-Literacki” w Toruniu z przeznaczeniem do druku w tym czasopiśmie.

Copyright © Zbigniew Wilczyński 1999.

Copyright © Mariola Kuberska 2014. All rights reserved.

Reprinted by kind permission of the copyright holders. Wszystkie prawa zastrzeżone.

Przedruk za zezwoleniem właściciela praw autorskich.